

73716

II

POLACY, CZESI I NIEMCY.

NAPISAŁ

STANISŁAW SMOLKA.



KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA.
1898.

11/51
73716

II

Dwo Mitoszników Krziziki, Kraków
6. IV. 1951

2517



93 7 16
II.

OJCU

W JEGO ROKU JUBILEUSZOWYM
W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WYBORU
NA PREZYDENTA PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO
A ZARAZEM W TRZYDZIEŚTĄ ROCZNICĘ WNIOSKU
KTÓRY POSTAWIŁ W SEJMIE GALICYJSKIM
DNIA 22 SIERPNIA 1868

SYN.



I.

Sojusz z Czechami.

Mając czternaście lat, byłem tak skromnym i apatycznym młodzieńcem, że nie obaliłem wówczas ani jednego gabinetu, nie zmusiłem ani jednego monarchy do abdykacyi, nie wplątałem w sieci mojego wszechwładnego wpływu ani jednego stronnictwa politycznego. Mimo to, po swojemu, po dziecinnemu, brałem serdeczny udział we wszystkim, co się działo w kraju. A była to epoka tak zupełnie inna od dzisiejszej. Działo się wiele złego; wówczas, ledwie przebrzmiały były ostatnie strzały powstania, a parę lat przedtem przygotowywały się te straszne nieszczęścia, z których nie dźwignęliśmy się dotąd i nie wiadomo, czy kiedy się podźwigniemy. Ale było coś heroicznego w atmosferze owej epoki: o uszy dziecka obijały się, nie wrzaski bijatyk w marmurowych salach parlamentów, nie hałas druzgotanych pultów, ale zrazu przerażające wieści o krwi przelanej na ulicach Warszawy, a później o tem wszystkim, co działo się po dworach szlacheckich w Królestwie, na stokach cytadeli warszawskiej, w dalekiej Litwie pod rządem Murawiewa.

Wtedy to w sercu dziecka odegrał się bolesny dramat, który żywym wspomnieniem odzywa się do dnia dzisiejszego, jak gdyby to było wczoraj, chociaż 35 lat już minęło. Byłem w spisku z starszem rodzeństwem: rozbiłem skarbonkę z kilkoletnimi oszczędnościami, żeby w tajemnicy przyłożyć się do uzbrojenia brata, który podążał do powstania; a dzień w dzień, przy stole, przy każdym zebraniu rodziny, musiałem słuchać, co mówił Ojciec, piętnując mianem szaleństwa rozpaczliwe przedsięwzięcie, w którego blasku wyobraźnia dziecinna widziała już rychłe zniszczenie wszystkich ideałów: koronacją króla polskiego na Wawelu. I nie mogło się to pomieścić ani w głowie, ani w sercu dziesięcioletniego chłopca, żeby ten Ojciec, o którego czteroletniem więzieniu tyle się nasłuchałem, który przed laty na to wyszedł z celi więziennej, aby usłyszeć wyrok śmierci, słowa ulaskawienia, a zarazem srogi wyrok ruiny bytu swojego i rodziny całej — żeby ten człowiek, na którego nie ja jeden patrzyłem jak na wzór wszelkiej doskonałości — ranił tak srodze najświętsze wówczas uczucia i równocześnie wystawiał osiwiłą głowę na innego rodzaju wyroki, spadające z błyskawiczną szybkością, o których się codzień tyle słyszało...

Trzydzieści lat właśnie mija — było to w sierpniu r. 1868 — mój Ojciec postawił na pierwszym posiedzeniu ówczesnej sesji sejmowej swój głośny wniosek względem cofnięcia pamiętnej uchwały z dnia 2 marca 1867 roku, w której Sejm galicyjski uchwalił wysłać delegacją do Rady Państwa, wbrew poprzedniej umowie z Czechami, wchodzącymi na drogę abstynencyi. Wniosek ten ledwie doznał poparcia, potrzebnego do regulami-

nowego traktowania; pozostał zatem manifestacją jednostki, zupełnie izolowanej, którą też, mimo jej przeszłości politycznej, mimo powszechnych osobistych sympatyj, uznano przedwcześnie za człowieka politycznie umarłego, co stwierdzono ostentacyjnie, nie wybierając go na tej sesji sejmowej, ani do jednej komisji. Na tem samem zaś posiedzeniu, Zyblikiewicz, w zgodzie z przeważną większością Koła polskiego, postawił pamiętny swój wniosek, z którego wywiązała się tak zwana Rezolucya. Żywo mnie to wszystko stoi w pamięci, stałem bowiem, jako czternastoletni chłopiec, zaciekle walki z moimi rówieśnikami, bardzo podobne do dzisiejszych zapasów parlamentarnych, i zdobyłem w nich dużo guzów, gdyż byłem w klasie podobnie izolowany, jak mój Ojciec w Izbie sejmowej. Nam nie chodziło o abstynencyą albo też o obesłanie Rady Państwa, ale o sympatyą i antypatyą do Czechów, a zaciekleść na Czechów była u nas w owej chwili tak wielka, że nie tylko w szóstej klasie łatwo było guzy oberwać, jeżeli ktoś się odezwał z dobrem słowem o »pobratymczym narodzie«.

Welche Wendung durch Gottes Fügung: dziś to, co stanowiło myśl zasadniczą Rezolucji, *die Sonderstellung Galiziens*, stało się hasłem Wolfa i Schönerera, postulatem naszych najzawziętszych wrogów, przeciw któremu bronimy się solidarnie wszelkimi siłami. Ja zaś, nie mając już lat czternastu, a nie zmieniawszy się zgola w dawnych sympatyach do Czechów, sprzeczam się nieraz na zabój z wytrawnymi politykami, którzy — jak na mój gust — zapędzają się czasami za daleko w swoich czeskich sympatyach. To mnie bowiem już razi stanowczo, jeżeli obecnie następca Zyblikiewicza,

witając »braci czeskich« na dworcu krakowskim, przeklina niegodziwych Niemców, że przed wiekami nas rozdzielili i że tylko przez ich czarną intrygę nie jesteśmy — jednym narodem. Bo gdybym nie był historykiem i gdybym mógł wierzyć temu, co mówiono na »święcie zbratania«, błogosławiłbym Niemców za tak skuteczną intrygę, dziękuję bowiem Panu Bogu, że mnie stworzył Polakiem, nie Słowianinem.

Byłoby to jednak dzieciństwem, irytować się zbytecznie jedną lub drugą taką extrawagancją. Przyjąć je raczej z dobrodziejstwem inwentarza, jeżeli możemy się radować tem dobrodziejstwem prawdziwie opatrnościowem, jakim jest niezawodnie dzisiejsze, daj Boże nie przelotne, zsolidaryzowanie całego naszego społeczeństwa, niedawno jeszcze tak rozbitego, pod sztandarem trwałego sojuszu z Czechami. Hasło tego sojuszu budzi powszechnie tak szczery, gorący zapal w całym kraju i stwarza harmonią tem wspanialszą, tem bardziej budującą, że przeciw niemu odzywa się jedynie, tak u nas jak i u Czechów, wstrętny zgrzyt żywiołów przewrotu, które tem samem zdemaskowały najzupełniej swe antynarodowe dążenia.

Trwały, ale rzeczywiście trwały sojusz z Czechami rokuje nam i im nieobliczone korzyści, nie na dziś tylko i jutro, a może nawet więcej ze względu na ogólne, najżywotniejsze interesa obu narodów, aniżeli na sprawy polityczne. Nie trzeba być bynajmniej entuzyastą słowiańskim, żeby to wyrozumieć i przejąć się głęboko tem przeświadczeniem. Podobno nawet, im trzeźwiej kto na to patrzy, im mniej ulega chwilowej excytacji nerwów, tem jaśniej zda sobie sprawę z wielkiego dobrodziejstwa, jakim stać się może z biegiem

czasu nasz trwały sojusz. I może rzeczywiście trzeba być na to długoletnim przyjacielem Czechów, może trzeba było przez lat trzydzieści, w skupieniu i w odosobnieniu, wiele przemyśleć i przemarzyć, żeby sobie jasno zdać z tego sprawę w pomyślnej chwili, której się napróżno wyglądało od dawna.

Jak dotąd, Czesi i Polacy różnemi najczęściej chodzili drogami, nie tylko za naszego pokolenia i poprzedniego, nie tylko od roku 1848, od czasów przebudzenia się czeskiego narodu po dwuwiekowym letargu. Tak było i przed Białą Górą, w ciągu poprzednich siedmiu wieków historii obu narodów. I przedewszystkiem należy stwierdzić kategorycznie, czy to się komu podoba czy nie podoba, czy to źle było, czy dobrze, że i Polska i Czechy miały, mają, i mieć zawsze będą niezaprzeczone prawo: rozchodzić się w swoich drogach, ilekroć tego wymagają żywotne interesa jednego lub drugiego narodu. Stwierdźmy, że nas wiąże silny węzeł wspólnych interesów, interesów najwyższych, ale nie urojony postronek jakiejś nieokreślonej chimery, znanej pod nazwą «współplemienności». Dzięki Bogu, jesteśmy czemś więcej, niż Słowianami, i nie możemy ani nie chcemy oddawać się w niewolę niezdrowej idei, któraby nas zmuszała iść zawsze razem, bez względu na indywidualne potrzeby narodowe, z wyrzeczeniem się narodowych ideałów, z zaprzeczeniem tego, co stanowi istotę naszych wybitnych indywidualności narodowych. Gdyby było inaczej, byłibyśmy zaprawdę *mindervertigte Nationen*, bo przecież żadnemu Francuzowi czy Hiszpanowi nie przyjdzie nigdy na myśl, poczuwać się do solidarności z Włochem albo Rumunem, w imię współplemienności romańskiej, jeżeli tego nie wyma-

gają rzeczywiste potrzeby, jeżeli braknie realnych punktów stycznych.

Mimo to, a raczej właśnie dla tego, wolno nam wyrazić nadzieję, że dzisiejszy nasz sojusz z Czechami ma takie rękojmie trwałości, jakich nie było nigdy, nawet przed pięciu wiekami, kiedy się zabierało na niedoszłą Unią obu narodów, pod wspólnem berłem Jagielly. Bo wiąże nas, nie chimera współplemienności, nie złudny sentyment, który się może zmienić po kilku latach, ani też chwilowa sytuacja polityczna, która też zmianom ulega za lada powiewem wiatru. Wiąże nas coś wyższego i coś trwalszego: konieczność wspólnej obrony tego wszystkiego, co uważamy za najwyższe i najświętsze dobra, nie tylko jako Czesi albo Polacy, ale z e stanowiska ludzkiego. I będziemy o te dobra walczyli, nie tylko pod naszym starem hasłem: *Za wolność naszą i waszą*, ale w zwartym szeregu, skupieni pod sztandarem, na którym jaśnieje godło: *Za życie nasze i wasze, życie doczesne i przyszłe...* za to wszystko, co nam wszystkim jest świętem; co jest, albo powinno być najświętszem także i naszym nieprzyjaciółom. A w tej walce słuchać będziemy natchnionego głosu, którym nasz poeta przemawia do mających zmartwychwstać:

Bądź cierpliwością; tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju...

Cóż nas, właściwie, tak silnie związało z Czechami w obecnej chwili? Oto właśnie taka wspólna przegrana, bolesna dla nas i dla nich, przegrana, która — wierzymy

w to głęboko — w końcu jednak musi wygrać na wieki. A jak potrzeba brać się do tego, ażeby gmach swój stwarzać z niczego, powoli... w tem Czesi mogą być nam budującym wzorem i przykładem, nie nam tylko, ale wszystkim narodom. Wszak to tak niedawne jeszcze czasy, dzisiejszym pokoleniom pamiętne, kiedy społeczność czeska, poczuwająca się do swojej narodowości, zamknięta była w ciasnem kółku kilkunastu zaledwie ludzi, bez wpływu i znaczenia, których uważano po prostu za maniaków, jeżeli w ogóle kto o nich wiedział. Oni sami mówili wówczas o sobie, że gdyby zapadł się sufit skromnej izdebki, w której się raz zebraли na pogadankę, naród czeski znikłby z powierzchni ziemi. W ich marzeniach, w ich miłości ojczyzny, ukryte było owo wielkie »nie«, z którego w ciągu lat kilkudziesięciu stworzono wspaniałe gmach dzisiejszej czeskiej potęgi, ten imponujący przedmiot bezsilnej zaciekłości Mommsenów i niezliczonej falangi ich satellitów. Tylko że w tym niewidzialnym embryonie tkwiły nieobliczone bogactwa, skarby zamarłej, uśpionej przez dwa wieki, świetnej tradycji dzielnego narodu o wielkiej siedmiowiekowej przeszłości. Ale jakich potrzeba było cnót, jakich sił niespożytych, jakiej wytrwałości niezłomnej, żeby z tego zarodka wytworzył się dzisiejszy stan polityczny, ekonomiczny i cywilizacyjny czeskiego narodu: to widać jasno z kilkudziesięcioletniej historyi odrodzenia Czech, która stanowić będzie zawsze jedną z najpiękniejszych i najbardziej pouczających kart w dziejach XIX wieku.

Tych cnót nam właśnie braknie, nam, przed których patryotyzmem biją czołem nawet nieprzyjaciele. Od Czechów uczyć nam się tej najtrudniejszej praktyki

w miłości ojczyzny, tego heroizmu, który cuda stwarza, nie doznając podniety w ożywczej a uzacniającej świadomości spełnionego bohaterstwa. Bo w tej ciężkiej a tak bogatej w plony pracy, która z niczego odrodziła Czechy, tkwi niewątpliwie olbrzymia suma osobistego poświęcenia, zaparcia się siebie, cichego nawet męczeństwa niezliczonych jednostek, tylko, że tych cnót, wyjątkowych w swoim rodzaju, nie ozłaca uroczy blask świetlanej aureoli, bijącej z wnętrza katorg sybirskich, z ciemnych kazamat Spielberga, z oblanych obfitą krwią nadwiślańskich łąnów...

Ale i oni od nas wiele mogą skorzystać. Nie z tej naszej pięknej, barwnej, wzniosłej tradycyi męczeństwa, ale z nowej, świeżo przez nas nabytej narodowej cnoty, której drogowskaz wytknął Krasiński tymi kilkoma wyrazami, w jego czasach jeszcze tak mało zrozumiałymi:

Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju...

Bo my, nędzarze w porównaniu z Czechami, bogatsi jesteśmy doświadczeniem. My nie jedną przeszliśmy Białą Górę — dziesięć ich albo więcej mamy za sobą. I w tych przeprawach zdobyliśmy jeden skarb, dla nas nieoceniony a pożyteczny także i dla Czechów, na którym właśnie zbywa im bardzo: spokojność wśród burz niepokoju, w zamęcie miarę... Nic dziwnego, że im tej cnoty właśnie braknie: w upojeniu, jakiego dzisiaj doznają, patrząc na zdumiewające owoce tych cichych wysiłków całego narodu, których świat cały nie dostrzegał niemal, póki nie ujrzał gmachu, jaki stworzyli z niczego. Upaja ich świado-

mość tej bujnej, nieokiełznanej siły elementarnej, którą tak łatwo miażdżą wszelkie przeciwności, a która jednak, jak wszelka siła, miarą niehamowana, może się złać: świadczy o tem, chociażby sama Biała Góra. Nas natomiast twarda konieczność uczy tej wielkiej enoty, której nieznaliśmy przez tyle wieków. U nas, na siedmiu ósmych częściach dawnych ziem polskich, jedynem polem działania, na którym nam wolno praktykować miłość ojczyzny, jest ściśle posłuszeństwo tym mądrym a trudnym do wykonania słowom poety; kwintesencją rozumu politycznego — miarkowanie najdroższych sereu a uprawnionych dążeń narodowych, bez wyrzekania się jakiegokolwiek części tych wszystkich ideałów, któreśmy po ojcach wzięli w spuściznie...

Dziwne czasem powtarzają się analogie w losach narodów.

Pięć wieków już dobiega, jak walczył Żyżka pod Grunwaldem w naszych szeregach. Wówczas wiązał nas od niedawna ścisły sojusz, nie z Czechami, ale z obcą nam, przez długie czasy wrogą Litwą. Z Krzyżakami mieliśmy od kilku dziesiątek lat pokój, przyjaźń niemal łączyła nas z Zakonem Niemieckim. Straszna walka o śmierć lub życie, która zawrzała na polach Grunwaldu, toczyła się o Litwę, której Zakon przysiągł zagładę. W przededniu Wielkiej Wojny wynik jej był niezmiernie wątpliwy. Wtedy to przed wysłańcami polskimi stanęli niemieccy posłowie ze słowami pokoju: »My wasi przyjaciele, z wami nas nie różni; opuście Litwę, od której wycierpieliście tyle, a dochowamy wam wiernie przyjaźni«. Pokusa była wielka; ćwierć wieku jeszcze nie minęło było od chrztu

Jagielly; Litwa nieraz zdradzała. Dotrzymując sojuszu, Polska wszystko stawiała na kartę, bo potężny Zakon Niemiecki, związany z królem czeskim, z królem węgierskim, z książętami śląskimi, ufny w poparcie całych Niemiec, miał w zanadrzu gotowy projekt rozbioru Polski, w czterysta lat przed jego wykonaniem. Polacy mogli się wahać, bo wartość związku z Litwą była jeszcze bardzo niepewna i różnie o niej myślano, a jednak na owo groźne ultimatum: *Krieg oder Frieden!*, Polacy odpowiedzieli jednogłośnie: *Wojna!*

Nie było w tem politycznej rachuby, wszystko ciągnęło raczej ku sojuszowi z Niemcami; na straży zaprzysiężonej Litwinom przyjaźni stały tylko: uczciwość i honor. I wierna tym dwom hasłom, Polska Jagiellowa nie dała się rozszarpać, lecz stanawszy mężnie do boju, narzuconego koniecznością nieubłaganą, zadała pod Grunwaldem cios zabójczy Krzyżakom.

W pierwszych dniach grudnia, przed kilku tygodniami, zawołano znów do nas: *Krieg oder Frieden!*, a w ostatnich dniach jeszcze, po debacie adresowej w Sejmie galicyjskim, powtórzono z naciskiem te słowa. Wołają do nas: »Opuśćcie Czechów, wszak to waszych wrogów przyjaciele najserdeczniejsi, Moskalofile. Od nich niczego spodziewać się nie możecie, bo gdyby nawet chcieli, oni wam dać nic nie mogą. My gotowiśmy dać wam wszystko, czego tylko pragniecie. Czyż wam wolno odrzucać naszą przyjaźń? Pod rosyjskim, pod pruskim zaborem dwie największe potęgi świata przysięgły wam zagładę. Czyż wolno wam lekceważyć w Galicyi większą jeszcze swobodę w rozwijaniu podstaw bytu narodowego, którego owocami podtrzymuje

się gasnące życie narodowe w siedmiu ósmych częściach ziem dawnej Polski?»

Czy mamy się zawahać, czy nam wolno stać na gruncie polityki galicyjskiej? Wszakże biedna nasza prowincya dźwiga rzeczywiście trudny do uniesienia ciężar obowiązków względem reszty ziem polskich, gdzie coraz więcej braknie środków do podtrzymania życia, a cała nadzieja skupiła się w dzisiejszym waryancie starej zwrotki:

Póki jeszcze żyjemy — Polska nie zginęła!

Ale nie ma wyboru! Drogowskazem musi nam być to samo hasło, które w przededniu bitwy pod Grunwaldem ustrzegło nas od hańby: Honor i uczciwość. Niech nam sojusz z Czechami przysparza wrogów, choć i przeciw dzisiejszym trudno wydołać; niechaj się potęguje przeciw Polakom bezprzykładna w dziejach zaciekłość Niemców w Prusiech i w Poznańskim: nam inaczej działać nie wolno, bo przestalibyśmy się sami szanować. A gdyby nas nawet sumienie narodowe mogło rozgrzeszyć, ze względu na częste zboczenia Czechów w ostatniej dobie, nie wolno nam zrywać sojuszu z naszymi sprzymierzeńcami, bo bronią nam tego z innej jeszcze przyczyny: Honor i uczciwość.

Jak zwierz, upadający z zmęczenia, szczwany przez psy krwiożercze, polskość żyje, oddycha, krzepi się pod berłem Monarchy, którego ludy obchodzą dziś 50-tą rocznicę jego błogosławionych rządów.

A rozkielznane żywioły, zaiste oblędem jakimś opętane, podały sobie ręce, aby nie zaniedbać niczego, co w dalszym logicznym toku ich roboty wiedzie niechybnie Monarchią nad brzeg przepaści, sprzysięgły

się na zgubę Dynastyi. My więc, pomni obowiązków wdzięczności, którym nam się sprzeniewierzać nie wolno, a wierni staremu hasłu naszych ojców, stajemy wobec naszych sprzymierzeńców, gotowi do utrzymania sojuszu, i dajemy im na ten rok jubileuszowy, nowe, doniosłe hasło:

Jeszcze A u s t r y a nie zginęła — póki m y żyjemy!

I pod tem hasłem walczyć będziemy mężnie, dotrzymując sobie wiernie zaprzysiężonego przymierza; bez obawy o przyszłość, spokojni w sumieniu, wśród powszechnego zamętu i rozstroju; z zupełną świadomością tego że działamy dobrze, bo jesteśmy i być musimy:

W zamęcie miarą i strojem w rozstroju...

II.

Niemcy.

Sojusze zawiera się zwykle na zasadzie umowy, w której obydwie strony mają prawo stawiać pewne warunki. Jakież być mają warunki naszego przymierza z Czechami?

Jeżeli chodzi o warunki jakiegokolwiek umowy, trzeba być trzeźwym; sentyment złym bywa w takich razach doradcą, a jeśli nim się powodują strony, zawierające umowę, źle to rokuje o wartości i trwałości przymierza. Stwierdźmyż więc przedewszystkiem, że nie tylko mamy prawo stawiać warunki, ale nawet prawo większe od Czechów, gdyż to ich właśnie a nie nasz interes żywotny był tym węzłem, który nas z nimi złączył tak silnie w ostatnich czasach. Zresztą przyzna nam każdy, że w tym sojuszu, na dziś i na jutro przynajmniej, więcej prawdopodobnie tracimy, niż zyskujemy; że wiernością, należną naszym sprzymierzeńcom, wystawiamy nasz wank nie jeden z najżywotniejszych interesów całego narodu. Mamy więc prawo, i prawo niewątpliwe,

stawiać warunki, których dotrzymania możemy się stanowczo domagać, dla wspólnych celów, w interesie rzeczywistej wartości i trwałości przymierza.

Nie żądamy dla siebie — nic! Będzie to nawet rozumnie, jeżeli nie będziemy sobie wymawiać żadnych korzyści bezpośrednich dla naszego kraju. Nie łudźmy się bowiem: sojusz jest świeży, sympatye nie dawnej daty, trzeba dbać o wzmocnienie i utrwalenie przymierza i unikać wszystkiego, co by mogło Czechów do nas zrażać, budzące się sympatye osłabiać. Nie wymagamy nawet wyrzeczenia się tego, co nas razi najwięcej; nie żądamy, żeby się Czesi z dnia na dzień pozbyli entuzjazmu dla »Świętej Rosyi«, który ciągle wśród nich pokutuje; miejmy nadzieję, że się z niego wyleczą, rychlej czy później. Jednego tylko musimy się domagać z stanowczością bezwzględną: tego, bez czego nasze przymierze w obecnem położeniu nie miałoby wartości, byłoby dla nas i dla nich szkodliwem raczej, niż pożytecznem.

Przymierze nasze ma być odporne, i to najściślej odporne, z uroczystem zobowiązaniem, że się unikać będzie nawet wszelkich pozorów zaczepności. Przyznajemy, że z ich strony właśnie padło to mądre słowo: »Wiążemy się nie do walki, ale do wzajemnej obrony, nieprzyjaciółom nie rękawicę rzucamy, lecz niesiemy słowa pokoju«. To może nawet za wiele. Nieprzyjaciół nieprzejednanych, nie naszych tylko, lecz groźnych nieprzyjaciół ładu, władzy, Państwa, Dynastyi, nieprzyjaciół cywilizacyi, zwalczać będziemy z wyteżeniem sił wszelkich, godziwymi tylko środkami, nie zniżając się do żadnych kompromisów. Ale wrota naszego przymierza będą i muszą być otwarte na oścież. Zapraszamy do niego wszystkich, którzy mają jeszcze odwagę mie-

nić się przyjaciółmi ładu i wolności; którzy nie przestali w to wierzyć, że bez poszanowania władzy wszystko musi się rozprządz i dąży do ruiny; u których nie wygasły do szczeru uczucia dynastyczne; którzy widzą i rozumieją konieczność wspólnej obrony najświętszych dóbr ludzkości przeciw apostołom przewrotu i nicestwa; którzy, chociaż w roznamiętnieniu podali rękę tym apostołom, gotowi się opamiętać. Zapraszamy wszystkich, serdecznie, słowiańskim obyczajem, stając z chlebem i solą u wrót naszego przymierza; zapraszamy szczerze, bez względu na narodowość dzisiejszych i przyszłych sprzymierzeńców, niepomni Grunwaldu, ni walk husyckich, ni Białej Góry, ani też obląkanych tyrad albo dzikich wykrzyków Wolfa i Schönerera, niepomni mowy księcia Hohenlohego w parlamencie berlińskim. W imię tych zasad musimy sami się zobowiązać i wymagać od Czechów, żeby przymierze nasze pozbawione było wszystkiego, z czego by się mogło wydawać, jakoby ostrze jego zwrócone było przeciwko Niemcom. Mimo tylu krzywd, których doznawaliśmy i doznajemy coraz dotkliwiej, my przeciw Niemcom, jako Niemcom walczyć nie chcemy, a Czesi też walczyć nie powinni, jeśli chcą słuchać rozumu, nie namiętności.

Rządzić bez Niemców i przeciw Niemcom, to byłoby w Austrii, co najmniej, rażącą anomalią, której trzeba unikać w jej interesie, choćby nawet — bo wiadomo to jeszcze — takie rządy mogły się trwale utrzymać. Prawda, że Niemcy stanowią mniejszość liczebną (8,461.580 na 23,895.413). Niemal dwie trzecie, obejmują inne narody: Czesi (5,472.871), Polacy (3,719.232) Rusini (3.105,221), Słoweńcy (1,176.672), Włosi (675.305), Kroaci

(644.926)¹⁾). Gdybyśmy się wszyscy związali przeciwko Niemcom, moglibyśmy ich niewątpliwie majoryzować, wystawiając jednak Monarchią na ciężkie przesilenia wewnętrzne, a może i zewnętrzne trudności. Z tego oni jasno zdają sobie sprawę, a ta świadomość rozzuchwala niesłychanie skrajne żywioły i wspiera ich bezprzykładny terroryzm. Jeśliby radykałom powiodło się sterroryzować rzeczywiście całą ludność niemiecką i skupić pod swym sztandarem, nie pozostawałoby nam zaiste nic innego, jak tylko próbować rządów przeciwko Niemcom, ratować Austryą od Niemców, jak ją ratowaliśmy niegdyś od tureckiego najazdu. Ale rządy przeciwko Niemcom — gdyby były możliwe — byłyby, bądź co bądź, pewnego rodzaju klęską, nie tylko dla Niemców samych, lecz przede wszystkim dla Austrii i dla wszystkich ludów Monarchii. Warto więc czynić wszelkie wysiłki, żeby się ustrzedz tej smutnej ostateczności. To bowiem przecież rzecz pewna — możemy to uznać bez obrazy dla Czechów i bez ujmy dla siebie — że w tej trzeciej części całej ludności austriackiej tkwi niepospolita suma inteligencji. Nie uprawnia ona Niemców do hegemonii, jeżeli bowiem przeceniają swą wartość w stosunku do nas i do Czechów, jest to tylko objawem *sui generis* ignorancyi²⁾, dość zwykłej u narodów o wysokiej cywilizacyi. Z tem wszystkim jednak, szkoda i wielka szkoda wyrzekać się współdziałania tego olbrzymiego

¹⁾ Cyfry z r. 1890; dziś zmieniły się niezawodnie na niekorzyść Niemców w stosunku do innych narodów.

²⁾ Myslę tu np. o przysłowiowej ignorancyi Francuzów lub Anglików w przedmiotach obcych Francyi lub sferze interesów angielskich.

kapitału w rozwiązywaniu wspólnych zadań, szkoda dla nas pozbywać się pożytku ciągłej, nieprzerwanej, ile być może, żywej i ciepłej styczności cywilizacyjnej z Niemcami.

A wreszcie *last but not least*. W pochodzeniu Dynastyi jest wprawdzie wiele pierwiastku francuskiego; w dziejach XVIII i XIX stulecia wsiąkło w nią dużo włoskiej tradycyi; panowanie zaś nad tylu różnorodnymi szczepami dało jej pewną cechę kosmopolityczną. Bądź co bądź jednak, jest to dynastia niemiecka, z pochodzenia, i co ważniejsza, z tradycyi. Więc właśnie w Austrii, gdzie czynnik dynastyczny ma tak olbrzymie znaczenie, tem trudniej byłoby rządzić przeciw niemieckiej mniejszości, chociażby nawet się chciało — co byłoby wielkim błędem — lekceważyć wszystkie inne doniosłe względy, które powinny nas wstrzymywać od tej zachcianki. A szczególnie ze względu na osobę Monarchy, którego jubileusz dziś obchodzimy, winniśmy z tem większą energią hamować wszelkie niewczesne zapędy w tym kierunku. Pamiętajmy, jak długą epokę obejmuje ten sędziwy Władca swem panowaniem, liczymy się więc tem bardziej z uczuciami, które wyniósł z młodości. Polacy zaś przedewszystkiem, ale także i Czesi, nie mogą o tem zapomnieć, że najwstrętniejszą ohydą jest — niewdzięczność.

Jak świat światem,
Nie był Niemiec Polakowi bratem.

Tak mówi stare przysłowie i nie bardzo się myli.
Poranek naszych dziejów oświeśla zorza bohaterskich

zapasów z Cesarstwem; południe wypełniają wiekowe walki z Krzyżakami; u wieczora niepodległości Polski stoi jej zabójca, arcymistrz polityki niemieckiej, Fryderyk II; dziś zaś parlament berliński uchwała po raz wtóry setki milionów na wytępienie polskości. Na drugiej szali widoczne tylko takie *imponderabilia*, jak *Polenlied* z 1831-go roku i sympatyje wiedeńskich studentów z roku 1848-go: to jednak trochę za mało. Tradycja zaś narodowa przeszła już nad tem dawno do porządku dziennego, że mimo woli Niemców, w dwóch epokach, tak oddalonych od siebie, tyle niemieckiej krwi wsiąkło w polską społeczność: w średnich wiekach, kiedyśmy mieli same niemieckie miasta i tyle niemieckich osad wiejskich, a po raz wtóry, w XIX stuleciu, kiedy synowie germanizatorów, nasyłanych na zagładę polskości w Galicyi i w Poznańskim, stawali na czele ruchu narodowego, zapelniając cele więzienne Spielberga i Moabit.

W psychopatologii narodów będzie podobno dzisiejszy obłęd zaciekłości niemieckiej przeciw wszystkiemu, co Polskę przypomina, ciekawym bardzo i charakterystycznym okazem klinicznym. Wszakże to sami Niemcy uznają, że ich bożyszcze, Bismarck, traci zupełnie równowagę umysłu, kiedy myśli o Polsce. Największa zaś sława naukowa Niemiec, dzisiejszy przedmiot uwielbienia całego narodu, stary Mommsen, wściekając się na Czechów, o Polakach już nawet nie wspomina; czy to z przezorności, by do reszty nie stracił równowagi, czyli też w tem mniemaniu, które pewnie rad w siebie wmawia, że oni nawet takiej wzmianki nie warci, gdy doszczętne wytępienie polskości jest tylko kwestyą czasu. Głośny list profesora

Mommsena — Herostratowe prawdziwie dzieło tego wielkiego człowieka — dał powód dwom profesorom, Balzerowi i Jagiczowi, do wystąpienia w szranki z koryfeuszem niemieckiej uczoności. Co do mnie, nie mógłbym podpisać wywodów obu tych znakomitych mężów. W czym się nie zgadzam z prof. Balzerem, to będę miał sposobność wyjaśnić w dalszym ciągu. Prof. Jagicz zaś popełnił, mojem zdaniem, ten błąd zasadniczy, że mówi o Słowianach, jak gdyby to była jakaś jednostka zbiorowa z królestwa zwierząt, roślin czy mineralów: *genus*, którego *species* są rozmaite narody słowiańskie; błędny ten, nieszczęśliwy punkt widzenia dzielą z nim rozmaici uczeni słowiańskich narodowości, i niestety nie tylko sami uczeni, co zgoła się nie przyczynia do wyjaśnienia pojęć. Wychodząc z tego błędnego założenia, prof. Jagicz twierdzi, że Niemcy byli *par excellence* mistrzami Słowian, *Lehrmeister der Slaven*. Gdyby to Czech napisał, jeszczebym się nie dziwił; taki *lapsus calami* mógłby się łatwo zdarzyć czeskiemu uczonemu, któryby w zapale polemicznym napisał wyraz: »Słowianie«, a właściwie myślał o Czechach. W ustach Kroata jednak twierdzenie takie zdziwiło mnie tem bardziej, ponieważ zdaje mi się przynajmniej, że jego naród, w ciągu tylu wieków swego istnienia, nauczył się nierównie więcej od Włochów, niż od Niemców. A przecież uczeń, choćby tylko ze względów delikatności, nie powinien gwałtem wpierać w jakiegokolwiek znakomitego profesora, że go uważa za swego mistrza, jeżeli się przygodnie czegoś nauczył od niego; w obecnych czasach antagonizmu narodowego można się łatwo narazić na tę przykrość, że profesor wyprze się ucznia. My n. p. nie śmiemy tego twierdzić, żeby cywilizacya

niemiecka była naszą mistrzynią; zresztą byłoby to niezgodne z rzeczywistością. W wiekach średnich uczyliśmy się rzeczywiście dużo od Niemców, choć równolegle z niemieckimi wpływami, oddziaływały na nas Włochy, zwłaszcza od XIII wieku; w XV, XVI a nawet w początkach XVII stulecia byliśmy niemal wyłącznie uczniami włoskich mistrzów; w XVII, XVIII i XIX wieku przeżywał u nas wpływ cywilizacji francuskiej, wspierany w ostatnich dziesiątkach lat silnem także oddziaływaniem niemieckiej nauki.

Ale niewdzięczność nie jest wadą Polaków, przyznają to nawet nasi nieprzyjaciele. Za to, czego nas Niemcy nauczyli, będziemy wdzięczni. Polski historyk zaś nie tylko może, ale powinien stwierdzić, że w toku naszych dziejów, z pamięcią tylu krzywd, dawnych i świeżych, łączą się jednak wspomnienia wielu jasnych chwil, które tylko nie mogły ostać się w tradycyi narodowej i utwierdzić tak trwale, jak Psie pole, Grunwald i Fryderyk II.

Już i z samem zaraniem naszych dziejów wiążą się rozmaite, nie tylko złe wspomnienia. Jeszcze przed przybyciem czeskiej Dąbrówki, niemieccy misjonarze rzucali nieśmiało pierwszy posiew chrześcijańskiej wiary nad Wartą i nad Gopłem. A kiedy plon jego zaczął wstychać, niemieccy kapłanie czuwali nad nim i pierwsi zwozili obfite snopy do spichrzów polskiej cywilizacji. Byli to przybysze z Fuldy, z Korwey, z nad grobu anglo-saxońskiej Edyty, ukochanej małżonki Ottona I. I z światłem wiary nieśli do Polski cenne okruszki tej cywilizacji, której kolebka stała u stóp Olimpu, która się rozrosła nad Tybrem, a po długich wiekach, zaszanowana troskliwie przez mądrych mnichów anglo-saxońskich, pły-

nęła ożywym prądem do barbarzyńskich jeszcze Niemiec. Wtedy to Otton wybierał się do Rzymu: tam odbyła się koronacja pierwszego króla Niemiec na Cezarza. I od tej chwili, równie dla nas pamiętnej, jak dla Niemców, znać wyraźnie dwa rozbieżne prądy w historii niemieckiego narodu, ścierające się ustawicznie, paralizujące nawzajem. Jeden ma źródło w Rzymie, w koronacji Ottona; drugi — także nie w Niemczech, lecz na rubieży wschodnich marchii niemieckich, nad Odrą, w zaciekłych walkach z Lechitami, których tępił ogniem i mieczem. Pierwszy prąd rozmnożył w Niemczech cywilizacyą, której pierwiastki zawitały do nich z angielskiej wyspy, i rozniósł ją szeroko po za granice Niemiec, ku wiecznej a niespożytej chwale niemieckiego narodu. Drugi zmiażdżył Lechitów, wytępił Prusaków, odbił się dopiero o górę Gedymina, a stworzył w kolei wieków dzisiejszą pruską potęgę, opartą na żelaznym fundamencie militarizmu. Nad Spreą, gdzie niegdyś lechiccy Lutycy palili objaty pogańskim bóstwom, schodzą się dziś te dwa prądy i szukają na próżno porozumienia. Napróżno, mówię: świadkiem arcykapłan bóstwa Przemocy, śpiewający stare strofy pogańskiego hymnu: „*Sila przed prawem*«, profesor Teodor Mommsen.

Czterdzieści lat mijało od koronacji Ottona I, gdy Bolesław Chrobry, potężny już wówczas władca szeroko rozrosłej Polski, zasiadł na tronie w złotej Pradze. Właśnie rzucił był wtenczas rękawicę Cesarzowi Henrykowi II i wyzwiał Niemców do boju na śmierć i życie, w którym wziął Czechy pod opiekuńcze skrzydła silniejszej i rozleglejszej monarchii Piastów. Bolesław Chrobry, to dzisiaj w naszych oczach uosobienie za-

cieklej walki z Niemcami; nieby w tem nawet nie było dziwnego, gdyby nam się zachciało dziś wystawić temu królowi pomnik na rynku krakowskim, pod wpływem rozdrażnienia, po brutalnych napaściach Wolfa i Pferschego, po mowie księcia Hohenlohego. A mało komu o tem wiadomo, jak ciężką walkę musiał staczać ze sobą samym ten straszny pogromca Niemców, zanim zdradzony, sponiewierany sromotnie, przyciśnięty koniecznością nieubłaganą, stanął wreszcie do boju z Niemcami. On wzrósł w tradycyi szczerego, naiwnego hołdu dla korony cesarskiej, która zdobyła skronie króla niemieckiego. Nie kto inny, jak ojciec, pierwszy władca chrześcijańskiej Polski, wierny, wypróbowany »Przyjaciół Cesarza«, wychował go w tradycyi uszanowania a nawet uwielbienia dla prawowitej władzy świeckiego Namiestnika Bożego. Niedawno zaś utwierdził się był w tych uczuciach na zjeździe gnieźnieńskim. Tu zetknął się osobiście z Cesarzem Ottonem III, tym najświetniejszym, najczystszy przedstawicielem wzniosłej idei chrześcijańskiego Cesarstwa, która zwiastowała ludom chrześcijańskim błogosławieństwo pokoju i wezwanie do wspólnej pracy nad utwierdzeniem królestwa Bożego na ziemi, poganom zaś światło nawrócenia i przyjęcie do chrześcijańskiej rodziny. Jeszcze nie ocknął się był z upojenia, w jakie wprawił go Otton, biorąc go na współpracownika swej wielkiej misji, gdy jak grom spadła wieść o śmierci młodocianego Cesarza, a miejsce jego zajął Henryk II, z ubocznej linii panującego w Niemczech domu. Bolesław Chrobry, wierny ojcowski tradycjom, wsparł całą swoją potęgą prawowitego dziedzica Cesarzy przeciw przywłascicielom, którzy go niemieckiej korony chcieli pozbawić. Nie znał

Henryka, człowieka świętobliwego, o ciasnym widnokręgu, którego strach przed potęgą saskich marchionów oddał zupełnie w ich niewolę. Ci ludzie, słowiańską krwią utuczeni, postanowili zgubić słowiańskiego władcę, którego potęgi nie mogli ścierpieć. W nagrodę za oddane usługi, zamiast łaskawego pana znalazł w Henryku srogiego prześladowcę, narzędzie saskich margrabiów, którzy wszystkie siły Niemiec skupili, by zdruzgotać młodą monarchią Piastów, jego ojca i jego dzieło. Wtedy zerwał się lew zraniony, przygarnął Czechów ku wspólnej obronie zagrożonego bytu, i dał niebawem poznać Niemcom, czym jest łagodny Słowianin, gdy mu nóż do gardła przyłożą.

Dziewięć wieków od tej chwili dobiega: w Niemczech i w niemieckim narodzie dzierżą prym epigoniowie starych saskich margrabiów. Rzadko zjawi się spadkobierca Ottonów, którego witamy całem sercem, choć go nie zdobi cesarski dyadem, jak nim był świętej, niewygasłej u nas pamięci Windhorst. I dzisiaj jeszcze, gdy Mommsen nam zwiastuje zagładę, a czoła inteligencji niemieckiej chylą się przed takim Iro i Schönerem, my oglądamy się za epigonami Ottonów, by nas twarda konieczność nie zmusiła stanąć do walki na śmierć lub życie — śladem Bolesława Chrobrego.

Taką walkę stoczyliśmy raz jeden z Niemcami, gdy nam ją narzuciono przemocą; pięć wieków już blisko mija: pod Grunwaldem. Kto patrzy na nią przez szkła historyków niemieckich, Grunwald przedstawi mu się jako jedna z tych walnych rozpraw między cywilizacją a barbarzyństwem, drugie niemal wydanie strasznego boju, który Rzymianie stoczyli dziesięć stuleci przedtem na polach Katalońskich z Attylą. Rze-

czywiście, pod wodzą Polski, od czterech wieków wprzężonej w rydwan zachodniej cywilizacyi, walczyła tam przeciw Niemcom ogromna moc barbarzyństwa, brutalna siła, nieświadoma zupełnie właściwych celów wojny, jak zresztą i sami nawet Polacy nie zdawali sobie z nich sprawy, broniąc jedynie własnego bytu, istnienia Polski. Ale i w bitwie Atylli pogrom Rzymian, a zwycięstwo bicia Bożego, pchnęły potężnie naprzód pochód rozwoju cywilizacyjnego ludzkości. Pod Grunwaldem zaś te niezliczone tłumy Litwinów, niedawno nawróconych, Rusinów, Tatarów i Wołochów, stając karnie w obronie Polski, walczyły nieświadomie nie tylko o utrzymanie bytu Jagiellońskiej monarchii, ale także o przyszłość jej posłannictwa, a tem samem o własną przyszłość. Bez grunwaldzkiego tryumfu nie byłoby tego wszystkiego, co zapisało się na kartach dziejów cywilizacyi Wschodu europejskiego, złotemi nieraz głoskami, w ciągu XV, XVI, XVII, a nawet i dwóch ostatnich stuleci. Litwa doznałaby chyba losu pobratymczych Prusaków; nie byłoby Unii brzeskiej, zroszonej krwią św. Józafata, tego wielkiego dzieła, które chociaż zniszczone na przeważnym obszarze dawnych ziem polskich, zaszanowane w naszym kraju, rozwiąże może jeden z najdonioślejszych problemów chrześcijańskiej cywilizacyi; nie byłoby i tych świetnych, choć złamanych w samym zawiązku zabiegów Batorego około cywilizacyjnego odrodzenia Wschodu na gruncie chrześcijańskim, przez wydobywanie ludów bałkańskich z jarzma muzułmańskiej barbaryi. Zdaje się czasem, że i cywilizacja katolicka Litwy i Unia brzeska, to wszystko może takie posterunki stracone, które niepowrotnie utonęły w historii, jak owe piękne, wznio-

słe a niedoszłe plany Stefana Batorego i Possevina. A jednak godzi się wierzyć i wierzymy w to niezachwianie, że i w historyi nie ginie, jak nie ginie w przyrodzie...

Po bitwie pod Grunwaldem Zakon Niemiecki był w zupełnej ruinie, z której, jako Zakon, już się nigdy nie podniósł, Polska zaś popełniła ogromny grzech zaniedbania, że go w r. 1410 nie zmiażdżyła do szczytu. Zakon Niemiecki bowiem, ten *Microcosmus* Niemiec, to była rzeczywiście kwintescencya wszystkiego złego, które nurtuje Niemcy w całych dziejach tego narodu: był to — jeżeli tak rzec można — zbiorowy epigon, duchowy spadkobierca margrabiego Gerona i podobnych mu saskich marchionów X stulecia, bałwochwalczy czciciel pogańskiej Siły, niszczyciel depcący najbrutalniej wszystkie prawa Boskie i ludzkie. A jednak ośmieliłem się obdarzyć go mianem: *Microcosmus* Niemiec. Bo też nim był rzeczywiście: wszak skupiał się w nim przez wieki kwiat rycerstwa *aus allen deutschen Gauen*. Jakoż nie sami tylko spadkobiercy Gerona mieścili się w jego zastępach; nawet w szeregu Wielkich Mistrzów widać obok Jungingenów takiego Henryka von Plauen, albo Jana von Tiefen. Tylko, że Jungingenów było zawsze nierównie więcej, bo ich wyrabiała już sama tradycya krzyżacka, przesycona zapachem krwi, którą przelano w rzezi wytopionych Prusaków, i swędem pogorzeli spokojnych siół kujawskich. Ta tradycya dawała zawsze przewagę rycerzom i komturom, których żywiołem była pożoga i zniszczenie. Coś pogańskiego, demonicznego rozpanoszyło się w Zakonie pod osłoną białego płaszcza zponurym, czarnym krzyżem. Kto wie, czy ten prąd zgubny, antychrześcijański,

nie miał źródła w widnokręgach Hermana Salzy, sławnego twórcy krzyżackiego państwa nad Wisłą, a serdecznego przecież przyjaciela tego monarchy, któryto mianem największych oszustów świata piętnował Mahometa, Mojżesza i — Chrystusa. Kto wie, czy w tajemniczych tradycjach Zakonu Niemieckiego nie było czegoś takiego, co właśnie zawiodło na stos Wielkiego Mistrza Templaryuszów w r. 1312; tylko Filipa Pięknego nie znaleźli Krzyżacy w żadnym królu polskim. To jednak już nie domysł, to fakt, a nawet fakt jeden z najgłośniejszych w historii, że pierwszym księciem, który otwarcie i stanowczo zerwał z Kościołem, robiąc doskonały interes na przyjęciu nauki Lutra, był ostatni Mistrz Niemieckiego Zakonu, Albrecht Krzywoprzysięca. I tu znów mamy drugie: »Kto wie?« Gdyby nie ten fakt tak brutalnego podeptania wszystkich praw Boskich i ludzkich, gdyby nie to ohydne odstępstwo, którem Krzywoprzysięca za sobą pociągnął innych książąt i tyle miast niemieckich, co także na tem odstępstwie zrobiły dobry interes: gdyby nie apostazya Albrechta, który sam jeden nigdy już nie mógł się cofnąć, kto wie, czy dzieje XVI stulecia nie byłyby jednak potoczyły się innym torem. Zamiast »Rewolucyi religijnej«, jak już dziś tak zwaną Reformacją nazywa nie jeden z protestanckich nawet pisarzy, możeby było przyszło do reformy Kościoła, w Trydencie czy gdzieindziej, bez oplakanego rozdarcia chrześcijańskiej społeczności na tyle wieków. W części i Polska temu winna, trzeba się w piersi uderzyć; winna, że nie dobiła Zakonu Niemieckiego, ani w r. 1410, ani w r. 1525, a co gorsza, że przygarnęła Albrechta Hohenzollerna, jako świeckiego wassala.

Wiem dobrze, że te spostrzeżenia nie spodobają się moim dawnym kolegom, z którymi przed laty 25-ciu pracowaliśmy razem w seminaryum Jerzego Waitza. Chociażbym jednak miał za to stanąć na stosie intelektualnym, za tyle bluźnierstw i naukowych herezyj, powiem jedno jeszcze bluźnierstwo. Janssen nie wiele jeszcze zrobił: był to pisarz wielkich zasług, olbrzymiej pracowitości, lecz niewielkiego talentu. A pomimo całego blasku, jakim jaśnieje dziejopisarstwo niemieckie XIX stulecia, historia Niemiec *est tout à fait à refaire*, i może kamień na kamieniu nie pozostanie z dzisiejszego zasadniczego, zdogmatyzowanego niejako sądu o przeszłości niemieckiego narodu. Niech mnie za te słowa wyśmiewają starzy koledzy: *so helf mir Gott, ich kann nicht anders!*

A jeśli kiedyś przyjdzie do takiego, daj Boże, najrychlejszego przebudowania historii Niemiec, wtedy, pewnie niejedno, co Niemcy dziś jeszcze poczytują za przedmiot narodowej chwały, ukaże się dopiero w całej zasłużonej nicości; natomiast wiele faktów, o których dzisiejsze pokolenie historyków jeszcze nawet nie wie — dobieje się zasłużonego znaczenia, jako rzetelny tytuł prawdziwej sławy niemieckiego narodu. Przedsmak tego daje nie tylko książka Janssena; więcej od niej może niektóre pisma Döllingera z przed roku 1870. Wówczas znajdzie się pewno dużo więcej punktów styecznych między Niemcami a Polską, więcej, niżli się dziś przypuszcza. Jest bowiem niezawodnie wiele rzeczy w przeszłości Niemiec, na niebie i na ziemi, o których się nie śniło historykom berlińskim, a w których bije żywo tętno Ottonowych tradycyj.

Ale do tego daleko jeszcze. I na dziś jednak, mimo

przewagi Hakatystów i Schönererów, w głębi serc naszych kryje się przecież dużo sympatyi do Niemiec, jakkolwiek Niemcy na to się wysilają, żeby nam wyrwać je z serca. Twierdzą to śmiało, chociażby za to spaść na mnie miała inna wielka klątwa, tym razem już nie z katedry niemieckich profesorów, ale z biura redakcyi jakiego dziennika galicyjskiego. I więcej jeszcze twierdzą: oto twierdzą, że każdy Polak przyzna mi słusność w tym względzie, jeśli się w piersi uderzy, a nie jest Poznańczykiem. Myśmy przecież nie pogańscy Rzymianie, którzy się uczyli od nieprzyjaciół, lecz mordowali nauczycieli. Nie darmo każdy z nas młodzieńcem zaczerpnął tyle ideałów z Szyllera, nie darmo w dojrzalszym wieku Goethego czyta. Nie zdołamy o tem zapomnieć, jaką dźwignią w rozwoju Mickiewicza była niemiecka poezya. Choćbyśmy zaś chcieli zapomnieć, że cały zastęp polskich uczonych, to dziś, w przeważnej części, uczniowie niemieckich mistrzów: geniusz niemieckiej nauki będzie każdemu z nich nieustannie przypominać się słowami Mickiewicza:

Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie częstkę mej duszy zostawił...

Cóż więc dziwnego, że serca nasze każdym razem silniej zabijają, ilekroć Niemiec — wbrew staremu przysłowiu — bratnią rękę do nas wyciągnie. Im rzadsze to, im dziwniejsze, im jaskrawiej odbija od wściekłego ryku berlińskich profesorów czy też wiedeńskich parlamentaryuszy, tem bardziej nas rozrzewnia i podbija każdy objaw sprawiedliwości, każde ciepłe słowo, które wyjdzie z niemieckich ust. Świętą nam będzie po wszystkie czasy pamięć Windhorsta; głęboko w sercach pol-

skich wyrzaje się każde dobre słowo, jakie za nami pada z ław berlińskiego centrum, a za każdy taki wyraz sympatii, jak artykuł *Vaterlandu* o mowie ks. Hohenlohego, zachowamy głęboką wdzięczność po wszystkie czasy.

Tak więc, bez przyczynienia się naszego, nam się dostało w udziale to tak ważne, tak doniosłe w dzisiejszej dobie zadanie: pośredniczyć między Czechami a Niemcami katolickimi w Austryi. Byleśmy mu sproścali!

III.

Cele sojuszu.

Czy to może przypadek, że wśród wrogiego nam niemieckiego narodu, sprzymierzeńcami naszymi są właśnie katolicy, zarówno w Prusiech, jak w Austryi? Ojcowie nasi świadczą, że dawniej było inaczej, a nawet wprost przeciwnie. W r. 1848 mieliśmy przyjaciół jedynie w obozie liberalnym; tożsamo w poprzednich latach, w epoce między kongresem wiedeńskim, a rewolucją lutową. Wszystkie żywioły rewolucyjne, ale nie tylko rewolucyjne, wszystko, co wzdychało do swobód politycznych, wszyscy ludzie zacni o szerszym widnokręgu, którzy dążyli do wyprowadzenia ludów europejskich z dusznej a bezdusznej atmosfery policyjnych rządów Metternichowskiej epoki: wszystko to byli nasi sprzymierzeńcy, niezachwiani, wypróbowani przyjaciele Polaków. Wiązał nas wspólny ucisk, łączyły niezatarte wspomnienia wspólnych katuszy, Spielberga i Kufsteinu. I nieraz jeszcze dzisiaj odzywają się do nas łabędzie śpiewy nielicznych epigonów starego, ideal-

nego liberalizmu: »Czemuście nas zdradzili?, za misę soczewicy sprzedaliście wspólne nasze ideały czarnym rycerzom reakcyi i ciemnoty, klerykałom i feudałom“.

My nie myślimy wcale urągać tym wspomnieniom, bądź co bądź drogim wspomnieniom. Wiele złego było niezaprzeczenie w tym minionym okresie naszej ewolucyi narodowej, ale z historyi tych bohaterskich zapasów ze wspólnym wrogiem bije przecież jasne światło tylu wspomnień, tak szczytnych, tak idealnych, że pozostaną one zawsze drogim klejnotem w skarbcu narodowej tradycyi, bo zaważyły niemało w dziejach wewnętrznego przeobrażenia, w historyi uzacnienia polskiego społeczeństwa. Ale historia ma to właśnie do siebie, że nie stoi na miejscu. Z liberałami, z apostołami Rewolucyi wiązało nas tylko coś chwilowego, z niemałą dla nas szkodą. Inne są węzły, które nas łączą dzisiaj z katolikami w Niemczech i w Austrii, i jedną nam ich sympatye, z wielkim dla nich samym niebezpieczeństwem, bo ich za to piętnują przewiskiem *Reichsfeinde*, zarzucają im zdradę ojczyzny. Punkta styczne, które nas z nimi łączą, to nie namiętna nienawiść wspólnego wroga, ani chwilowa, zmienna jak wszystko, sytuacja: to są zasady, które oni wyznają z głębokiem przekonaniem, a którym my także jesteśmy wierni, z mniejszą lub większą siłą przekonania; to już od indywidualności zależy. Ale to pewna, że te zasady wrastają u nas coraz silniej w grunt narodowy, z każdym rokiem, z każdym niemal miesiącem, nietylko w naszym kraju, lecz na całym obszarze dawnych ziem polskich, i utwierdzać się będą coraz silniej, przechodzić będą coraz świadomiej w krew

i soki narodu, jeśli nie mamy zniknąć z powierzchni ziemi...

Sto lat minęło, jak Polskę wymazano z karty europejskiej. W dwadzieścia lat potem radzono na kongresie wiedeńskim, czyby jej nie odbudować nowo, a gdy do tego nie przyszło, zgodzono się przynajmniej, że trzy rozbiorowe mocarstwa winny zapewnić Polakom nie tylko wszelką swobodę narodowego rozwoju, ale winny tak się urządzić, choćby nawet wbrew własnym interesom politycznym i ekonomicznym, iżby swoim pol-danym zabezpieczyć pożądane dla nich warunki spójni i łączności, mimo granic państwowych, które ich rozdzieliły. Jakże ten świat się zmienił: *quam mutatus ab illo!* Dzisiaj na $\frac{7}{8}$ częściach ziem dawnej Polski brzmi straszne, nieubłagane hasło wytopienia przekłętego narodu.

Nikt jeszcze tego hasła nie wypowiedział tak jasno, z taką brutalną precyzją, jak książę Hohenlohe w ostatniej swojej mowie. Zupełnie, jak gdyby rzeźnik mówił do wołu: »Mnie to nawet przykro jest rzeczywiście, bo niepotrzebnie mam miękkie serce, ale to trudna sprawa, niema rady, ty musisz być zarznięty, bo żyjesz przecie na to, abyśmy jedli mięso«. To jest przynajmniej jasne, i żadnej wątpliwości nie pozostawia. Tak brzmi to stare „*Point de rêveries*“! w nowej edycji berlińskiego wydawcy.

Inaczej mówią dziś do nas w Rosyi: »Polsko! Ty jesteś naszą siostrą i siostrą ukochaną. Niestety chciało, żeśmy długo żyli w niezgodzie: dziś wszystko zapomniane, darujemy sobie wzajemnie wszystkie urazy, będziemy żyli jak brat z siostrą. Ja nawet czoła uchylę przed tobą — przed twą kulturą, wyższą od mojej

w niejednym względzie; pogódź się ze mną a zawita błoga era miłości rodzinnej. Pielęgnuj z macierzyńską miłością ideały swojej rodzimej cywilizacji. Ale ponad to nie, a żeby nie przyszło znowu do jakiego nieporozumienia, wiedz o tem dobrze, że będę dla ciebie po dawnemu katem nieubłagany, gdyby ci się np. zachciało wychowywać dzieci w twoim języku, gdyby zuchwalstwo twoje sięgało aż po język w urzędzie. Musisz zatem uroczyście odprzysiąc się tych marzeń. Wtedy będę ci dobrym bratem, nie zabiję cię nigdy, zjem z ciebie jedynie to, co jest do zjedzenia, samo tylko mięso — z sercem rozumie się, bo ono także z mięsa — ale zostawię nienaruszony cały kościotrup i z tym szkieletem będę pracował, w idealnej harmonii, nad urzeczywistnieniem wspólnych naszych ideałów».

Co lepsze, co kto woli? Tamto przynajmniej bardzo logiczne.

Nie wesoło nam zatem. Groźnie zapowiada się dla nas bliski już początek dwudziestego stulecia, tem groźniej, że coraz potężniej, coraz wścieklej rozpierają się w całym świecie dwa prądy, na pozór wykluczające się nawzajem, a — co dziwne — podające sobie dłoń bratnią: dwa prądy, zapowiadające brutalnie zagładę wszystkim narodom, które nie posiadają bytu politycznego na swą obronę. Jeden z nich, to kosmopolityzm wszystkich żywiołów przewrotu, radykałów socjalistycznych, anarchistów i nihilistów; drugi, to ta charakterystyczna, właściwa naszej epoce mania wzajemnego pożerania się narodów, nowoczesna *etnofagia*, jeżeli wolno użyć tego wyrażenia, dotąd nie mającego jeszcze praw obywatelstwa w naukowej terminologii. Pierwszy prąd dąży do niwelacji zupełnej wszystkiego,

co tylko ludzkość posiada, a więc i narodowej; drugi potęguje namiętą miłość ojczyzny do potworności.

Trzeba być krótkowidzem, żeby się na tem nie poznać, że te dwa prądy, pozornie sprzeczne, są dziećmi jednego ducha. To upiór pogańskiego Rzymu Cezarów, Massynissa poezyi Krasieńskiego, sataniczny wróg całej cywilizacyi chrześcijańskiej, wysilający się od wieków na jej zniszczenie. Przeciw tej złowrogiej potędze jest broń jedna: ta sama, pod której ciosem padł stary Rzym pogański. Jej znakiem — krzyż.

Pod jego to ramionami urosły, ukształciły się w ciągu wieków wszystkie żyjące narody, przodujące dziś w świecie. Kościół je budził do życia i macierzyńską opieką otaczał ich wiek niemowlęcy; w jego służbie rozwijały się i nabierały hartu męskiego języki wszystkich narodów, w jego natchnieniach znajdowały źródło rozkwitu; pod jego wychowawczem działaniem uzacniał się narodowy obyczaj, zachowując i utrwalając wszystko, co swojskie i rodzime, a zgodne z nauką Chrystusa i pożyteczne dla dalszego życia narodu. Gdzie tylko wykrzesać się mogły żywotne iskry narodowego bytu, tam je wszędzie Kościół rozniecał pieczołowicie i zasłaniał od sił niszczących, które im groziły zdmuchnięciem; niedaleko szukając, w naszych dziejach znajdzie się żywą ilustracyą tej prawdy. A nie jest to tylko piękna legenda przeszłości. I dziś i zawsze, tylko na chrześcijańskim gruncie, prawdziwie chrześcijańskim, może zdrowa miłość ojczyzny zapuścić silne korzenie, rozrastać i rozkwitać; tak jak każde uczucie, jeśli jest latoroślą tej a nie innej macicy, z niej czerpie zdrowie i siłę. Gdzieindziej — może błyszczeć, może się palić ogniem, który tem szybciej trawi się

i albo spłonie do szczętu, albo też nada uczuciu, w istocie swojej zdrowemu, kształt chorobliwy, wykrzywiony, potworny.

Chrześcijańska miłość ojczyzny nie w sobie samej widzi cel ostateczny i tem się różni od wszelkiej namiętności, ślepej, bo w sobie zamkniętej. Jej przyświeca ten sam cel, co wszelkiemu chrześcijańskiemu uczuciu, cel najwyższy, jedyny rozumny cel życia jednostek czy narodów: sam Bóg i Jego chwała, a dla tej chwały pożytek ludzkiego rodzaju. Na tej opoce wsparta miłość ojczyzny, głosi to przykazanie, które każdemu narodowi jest najsilniejszą dźwignią życia i bytu: aby z tego gruntu, na którym go postawiła Opatrzność, w miarę sił swoich wydobył wszystko, co tylko służyć może celowi jego istnienia. A sam rozum wskazuje, że opuszczenie tego gruntu swojskiego i rodzimego, to grzech, to ciężka wina wobec Boga i świata. Bo na chwałę Boga a pożytek ludzkości winno się składać wszystko, co tylko zdolne do życia, a więc i uprawnione do niego, w wielkim i tem wspanialszym koncercie, im więcej jest w nim miejsca na każdy odcień narodowego indywidualizmu. Gdy w nim stłumić te dźwięki, które się rwą do życia, zabrzączy on na razie surowym dyssonansem, a z czasem ochrypnie i wyjałowuje. Opuścić grunt rodzimy — to tyle, co wtrącić w przepaść nicości tę grubą i szeroką warstwę ludową, która każdemu narodowi służy za podwalinę bytu. Bo w ludzie nigdy to nie zaginie, co stanowi jądro bytu narodowego: obyczaj jego i język; tylko w braku wyższych szczebli narodowego życia, z nim razem zmarnieje, wykrzywi się, spotwornieje, odosobni całe miliony, oddalnie je od wyższych potrzeb i natchnień, a z dźwigni

życia stanie się narzędziem pośmiewiska i zguby. Na gruncie chrześcijańskim płynie zatem miłość ojczyzny z tego samego przykazania, w którym się wszystko mieści: z miłości Boga i bliźniego; wiąże się z celem bytu i życia, a przemawia do duszy każdej jednostki, nie, w imię ideałów, które mogą zblednąć, ale w imię tego, co człowiekowi powinno być najświętszem. A wszystko co jest rzeczywiście ideałem narodu, dopiero pod technieniem takiego uczucia nabiera życia i siły, staje się prawdą, nie błyskotliwym marzeniem, staje się człowiekowi drogą i świętem. I słusznie świętem; ale żeby świętem być mogło i świętem pozostało na chrześcijańskim gruncie, domaga się troskliwego pielęgnowania, oczyszczenia z wszelkich naleciałości, które z świętością niezgodne; wyprostowania wszelkich zboczeń i skrzywień, które tłumią w nim iskrę życia; domaga się tej pracy niezmordowanej, pełnej miłości, którą stoją i dźwigają się narody w imię słów Pańskich: *Sanabiles nationes!* Jak każda miłość, wolna od namiętności, taka miłość ojczyzny zdolna rozpoznać złe od dobrego; pierwsze leczy lub niszczy, drugie rozwija starannie na chwałę Boga a pożytek świata. Niezaślepią, nie będzie zamykać swego narodu kołem zaklętem i odosabniać; we wspólnej pracy z innymi widząc cel jego istnienia, nie będzie bronić przystępu temu, co obce ale dobre, co pożywienia może dostarczyć sokom narodu, co przyswojone jemu, podnieci w nim żywotność i wyjdzie na jaw, jako jego dzieło, piętnem jego ducha zaopatrzone, a jako dobro powszechne. Miłość chrześcijańska nie zajrzy, nie szuka swego, a co najmniej na cudze się nie targa; ona jedna zna tę wielką tajemnicę dobrego sąsiedztwa, które umie pogodzić własne

dobro z dobrem drugiego, które rozumnem okiem widzi własną, rzetelną korzyść w popieraniu brata czy sąsiada, w osłanianiu słabszego; która z pożytkiem własnym do ofiary nawet się posunie, aby brata dźwignąć z upadku.

Inny jest patryotyzm pogański: zawsze ten sam, w miastach greckich lub starożytnym Rzymie, czyli za naszych czasów, zawsze równie surowy, w sobie zamknięty, poza sobą nic nie widzący. Może na gruncie jego krzewić się bohaterstwo w chwili niebezpieczeństwa, może budzić się zapal, pełen nawet uroku i blasku, i rodzić czyny wielkie, godne podziwu, bo jest w nim zawsze i tli nieświadomie ta sama iskra, co w prawdziwej, zdrowej miłości ojczyzny. Ale uczucie, które na tym gruncie urosło, długich prób nie wytrzyma, strawi się samo w sobie i dzieł trwałych nie stworzy. Dla niego poza potęgą, chwałą, blaskiem narodu, niema innego celu; co dla tego celu zawadą, musi być z drogi sprzątniętem: przemocą, a pod hasłem *Vae victis*, jeśli są siły po temu (Rosya, Prusy); zaciekłością, która przed żadnym środkiem gotowa się nie cofnąć, gdy sił zabraknie (Fenianie). I zawsze nie tyle miłością żywi się to uczucie, co nienawiścią. Wróg, cel tej nienawiści, jest mu potrzebny, jak powietrze do oddychania, i żywotność w niem gaśnie, gdy braknie wroga, jak go zabrakło w starożytnym Rzymie. Namietność jest to, nie miłość, namietność zaślepiona, w sobie samym widząca cel najwyższy i arcydzieło doskonałości. Więc nie dziwnego, że pod działaniem tej namietności oko bielmem zarasta i staje się niezdolnem rozpoznać złe od dobrego. Czy złe czy dobre, co *swoje* to *doskonałe*; wady i ułomności, im głębiej za-

korzenione, tem wyżej stają na piedestale ideału narodowego, otoczone aureolą świętości, której dotknąć nie wolno. A tak wytyka się losom narodu utarty gościniec, wiodący do przepaści, do zguby nieuchronnej, przez piekło spotwornienia, które musi się potęgować pod wpływem ideałów skrzywionych; do upadku tem strasznieszego, im bardziej tę stoczystość, która ku niemu wiedzie, ozłacają błyski chwilowej pomyślności, entuzjazm upojenia, nie dający wejść w siebie i zwrócić się z tej drogi. Jeśli jest logika w tem uczuciu, musi prowadzić tam, dokąd doszedł świadomie logiczny Rzym pogański: do ubóstwienia siebie. A świadomie czy nieświadomie, ubóstwienie to tkwi z pewnością i tkwi głęboko w pogańskim patryotyzmie naszego wieku. Tam, gdzie Boga wypędzają z kościoła, aby go przekształcić na Panteon narodowej chwały, czy tam, gdzie bez tych gwałtów z Kościoła chcą utworzyć polityczne narzędzie, służące obok innych narzędzi interesom narodu: wszędzie Bóg ustępuje z ołtarza, ustępuje fałszywemu bożyszczu, bóstwu narodowemu, pogańskiemu pojęciu Ojczyzny. Nigdzie nie widzi się tego tak jasno, jak we Włoszech, może właśnie skutkiem tej logiczności wrodzonej, tej spuścizny po starym Rzymie. Tam Italia stała się bóstwem w całym tego słowa znaczeniu, tam kult tego bóstwa z coraz większym aparatem obrzędów wypowiada już śmiało wojnę czci prawdziwego Boga, a Panteon włoskiej chwały, przyjąwszy w poczet bóstw drugorzędnych Mazzinich, Cavourów i Garibaldich, na modłę tych półbogów każe wzorować pojęcia złego i dobrego i tak toruje drogę nowemu systemowi etyki narodowej. Nie tak jaskrawo może objawia się pogaństwo patryotyzmu we Francyi, w Niemczech i w Rosyi; wszędzie jednak

jest ta sama jego istota, wszędzie nienawiść go podsyca i jest głównym jego żywiołem, wszędzie też przedmiotem nienawiści i wzdargy jest dla niego ten naród, u którego w dzisiejszych czasach, pod brzemieniem nieszczęścia, najwięcej może żywotności zachowała — chrześcijańska miłość ojczyzny.

Zrozumiała jest zatem ta zaciekłość bezprzykładna, niepamiętna w dziejach zaciekłość, jaka przeciwko nam panuje w potężnej rezydencji Mommsena, klasycznego chwalcę i miłośnika starego Rzymu Cezarów. Prusacy, gdyby nawet Czechów mieli pod swoim panowaniem, nie znęcaliby się może nad nimi tak, jak się pastwią nad nami. Nie rozumują oni tak, jak my, to pewna; ale właśnie cała wściekłość ich nienawiści tem się tłumaczy, że bezwiednie, instynktowo, z elementarną siłą tryska z zasady, która stworzyła Prusy, której dzisiejsza potęga Niemieckiego Cesarstwa zawdzięcza swe powodzenie. Tem się tłumaczy także ten zapal, z jakim Niemcy Niemieckiego Cesarstwa mieszają się od niedawna w wewnętrzne sprawy Austrii, na przekór oficjalnej polityce urzędu kanclerskiego, a nawet wbrew ostrzeżeniom samego Bismarcka; tu bowiem w pó bogu Niemiec nawet nienawiść Polski milknie wobec przyzwyczajęń rzemiosła, wobec rutyny dyplomatycznej. Ten zapal, to prawdziwie także ciekawy okaz w psychopatologii narodów. Ci sami ludzie, którzy nie mają łyzy litości dla rodaków, tak strasznie ciemnionych w Rydze, w Dorpacie lub w Siedmiogrodzie, ci sami patryoci niemieccy dochodzą do szaleństwa z bóleści i oburzenia, jeżeli słyszą o chwilowym zakazie kolorowych czapek studenckich w Pradze. Ale i to jest zrozumiałe. Z takimi *etnofagami*, jak Węgrzy i Rosya-

nie, są oni przecież *eines Geistes Kinder*. Was dem Einen recht ist, ist dem Anderen billig. Co innego jednakże z Austrią. Nie to jest rzeczą dla nich decydującą — jak twierdzą szczerze czy obłudnie — że Niemcom ma się należeć hegemonia nad niższemi rasami: wszakże wobec teoryi *der minderwertigen Nationen*, Węgrzy nie mogą być w ich oczach o wiele lepsi od Polaków lub Czechów; ale Węgier jest *etnofagiem*, tak samo doskonałym jak Prusak, niechaj więc zjada Niemców i niech mu apetyt służy. Najlepszy to może dowód, że gdzie indziej jest *punctum saliens* tej całej kwestyi. Prusak — i to każdy Prusak — czy jego królem będzie król pruski, bawarski, czy wirtemberski — każdy prawowierny Prusak będzie czuł instynktowo ideosynkrazyą do Austrii, nie słowiańskiej, nie federalistycznej nawet, ale ku Austrii, uznającej niezłomnie tę zasadę, która stanowi racją jej bytu, zasadę równouprawnienia narodów. To jasne bowiem: ta zasada i *etnofagia* pruska, to jest woda i ogień. Czy cała cywilizacya chrześcijańska spłonie w pożarze *etnofagii*, czy też użyźni ją pojednanie narodów, jak Nil użyźnia łany Egiptu, to pokaże dopiero historia XX stulecia...

Wierzmy, że cywilizacya nie zginie; wierzmy więcej, że nie będzie takiego przesilenia, jak po upadku starego Rzymu, z którym runęła cywilizacya pogańska, aby wśród ruin kielkować mogły swobodnie młode pędy nowej cywilizacyi. Innej bowiem, jeszcze nowszej, już nie potrzeba: chrześcijańska cywilizacya nie ulegnie zniszczeniu. Na to jednak potrzeba zdusić, wytepić te dwa prądy pogańskie, które na byt jej nastają: kosmopolityczny anarchizm i etnofagią szowinizmu narodowego.

Bój będzie straszny, a gdy zaświta słońce zwycięstwa, zajaśnieje może jutrzienka lepszych czasów, o których przed dziewięciu wiekami marzył tak pięknie jeden Niemiec, Otton III. W marzeniach tych wspierał go pokorny Słowianin, święty Wojciech, gdy obaj w bratnim uścisku ze szczytów Awentynu spoglądali na gruzy starego Rzymu, na krzyż widniejący w dali z kościoła św. Piotra. Jeśli się ziszcza te marzenia — może Bóg da doczekać tego naszym wnukom — narody będą przyjaźnie stały obok siebie, pracując zgodnie nad dobrem powszechnem. I w tej lepszej epoce nie zabraknie pewnie przeciwnieństw, ale zatrą się może przeciwnieństwa między ludami Europy, a natomiast silniej zarysuje się antagonizm zbiorowych olbrzymów, różnojęzycznych, jak stary kontynent i świat zaatlantycki. Ku temu wiedzie nas jedno w każdym razie, jedno tylko, ale za to z siłą niepohamowaną; to przed czem w wielkich okresach czasu błędną wszystkie inne czynniki: troska o chleb codzienny.

Komu te dalekie cele drogie i święte, ktoby pragnął pracować nad pojednaniem narodów, niech nie traci pieniędzy i nie jeździ na jałowe kongresy pokoju w Genewie czy Brukseli, chyba, żeby się chciał przypatrzeć Szwajcaryi albo Belgii. W Szwajcaryi znajdzie rzeczywistniony ideał równouprawnienia narodów, z wzajemnym ich dla siebie szacunkiem, z wzajemnem przywiązaniem, a bez kosmopolitycznego zatarcia tak silnych, tak wybitnych indywidualności, jakimi są Francuzi, Niemcy i Włosi. A gdyby jaki podróżnik — Niemiec, rozumie się — po wyjeździe z Szwajcaryi wątpił jeszcze o zasadniczej możliwości przyjaznego pożycia różnych narodów, niechaj jedzie do Belgii; jeśli bowiem ma

głowę zawróconą błędnymi dogmatami i wierzy w niemiecką teorią *der mindervertigen Nationen*, zobaczy w Belgii jak tam przykładnie żyją Francuzi z Flamanami. Najlepiej jednak, jeżeli nie jest austriackim poddanym, niech się osiedli w Austrii. Tu znajdzie *Mikrokosmos* starej Europy, a w niem szerokie pole do pożytecznej pracy nad pojednaniem narodów, jedyne, które istotnie prowadzi do tego celu.

Wäre Östreich nicht da, so müsste es erfunden werden; znane to słowa jednego właśnie z tych znamiennych mężów, którzy stali u kolebki odrodzenia czeskiego narodu. Austria jednak, to wytwór historii długich wieków, to dzieło innego rodzaju, niż jakikolwiek ludzki wynalazek. Nie ona jedna wprawdzie stoi na pograniczu rozmaitych szczepów, ale jedyne to rzeczywiście państwo, w którego skład wchodzi tak różnorodne pierwiastki narodowe, związane z sobą węzłem dynastycznym, a stojące obok siebie z takim właśnie wymiarem sił, że jeden drugiego nie może pożreć, choćby jak gorąco hołdował zasadom etnofagii. I czy kto wierzy w pojednanie narodów, czy też je ma za sen i marę, za chorobliwą chimere; choćby wczoraj nie myślał nawet o tem, dzisiaj musi, świadomie czy nieświadomie pracować i to pracować z całą siłą nad urzeczywistnieniem tej idei, czy też rzekomej mrzonki, jeżeli się nie wyzuł do szczytu z resztek uczucia dynastycznego, które, bądź co bądź, jeszcze w Austrii bije potężnem tętnem. Niech sobie bowiem bursze wiedeńscy śpiewają *Die Wacht am Rhein*, choćby mieli ochrypnąć, niech się wysila w cichych dolinach alpejskich szalona agitacja politycznych komiwojażerów: wszystkie te głosy szowinizmu antydynastycznego przygłuszy ostatecznie zgo-

dny okrzyk, który dobiedzie się z zapalem z serca milionów:

Jeszcze Austrya nie zginęła...

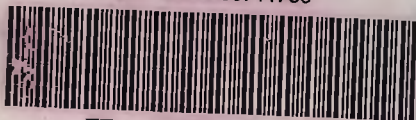
A tak nie zginie Austrya, nie upadnie Dynastia, która, świadomie czy nieświadomie, ma sobie powierzone wielkie posłannictwo, największe może, jakie ma być spełnione w przyszłym stuleciu. My zaś, którzy nie potrzebujemy się dopiero w Austrii osiedlać, aby pracować nad tem świętym dziełem; my, którzy tylko z Austrii wyprzeć się nie damy, zapalmy w sercu i w rozumie naszego społeczeństwa to jasne przeświadczenie, że stojąc wiernie z sprzymierzeńcami naszymi przy tronie Jubilata-Monarchy, pełnimy twardą, lecz wdzięczną służbę pod tym samym sztandarem, który wiódł ojców naszych przez dziewięć wieków narodowej przeszłości i powiewał nad największym dziełem narodu, nad Unią z Litwą. A jak im przygrywały w bojach dźwięki pieśni *Boga Rodzica*, tak nas w tej walce, która nas czeka, zagrzewać będzie wzniosła strofa z *Resurrecturis*:

Co świat przezwiał snem i marą
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczyń prawem,
Czemiść pewnem i ujętem,
Czemiść świętem...



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000711706



II 73716